

Konrad Wyszowski: Filozofii trzeba więcej szaleństwa! Na marginesie Światowieków. Ułamku z roku 1815

O niezbedności domieszki szaleństwa nie wiedzą jednak ci, którzy chcą uczynić z filozofii naukę jak każda inna. Chcą wyznaczyć jej metodologię, „problemy” i „hipotezy”, oczywiście „badawcze”, a także wymusić na niej, by składające się na nią procesy przebiegały według „planu”, też oczywiście „badawczego”. Innymi słowy, chcą nie tylko umyć, uczesać i ubrać filozoficznego fauna, spełniając w ten sposób zrozumiałe wymogi wstydlivosti i skromności, a także umiaru, lecz go, nie ma co ukrywać, wykastrować, pozbawić siły płodzenia – pisze Konrad Wyszowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Böhme. Bezdeń, Absolut i dialektyka”.

„Od Arystotelesa mówi się nawet potocznie o człowieku, że nikt nie dokona czegoś wielkiego bez dodatku szaleństwa. My natomiast chcemy powiedzieć: bez stałej solicytacji do szaleństwa, które może tylko zostać przewyciężone, lecz którego nigdy nie powinno całkiem zabraknąć. Podział ludzi pod tym względem mógłby nawet przynieść jakiś pożytek. Jeden rodzaj, można by powiedzieć, to ten, w którym w ogóle nie ma żadnego szaleństwa. Są to duchy nietwórcze, bezsilne, niezdolne do płodzenia, które same siebie nazywają trzeźwymi, albo tak zwani ludzie rozsądni, których dzieła i czyny są tylko zimnymi dziełami albo czynami rozsądku... Tam..., gdzie nie ma żadnego szaleństwa, tam nie ma też prawdziwego rozsądku, czynnego i żywego umysłu (stąd też martwy umysł, martwi ludzie rozsądni); w czym

bowiem rozsądek mógłby się objawić, jak nie w okiełznaniu, opanowaniu i uregulowaniu szaleństwa? I dlatego także całkowity brak szaleństwa prowadzi do innej skrajności, do tępoty umysłowej (idiotyizmu), która jest absolutną nieobecnością wszelkiego szaleństwa. Tych natomiast, w których rzeczywiście jest szaleństwo, są z kolei dwa rodzaje. Jeden, który je opanował i w tym zwycięstwie właśnie okazał najwyższą siłę rozsądku; i drugi, który przez szaleństwo został opanowany, właściwi szaleńcy” [1].

Wawrzyniec Rymkiewicz, autor przekładu, wstępu i komentarza do cytowanych właśnie *Światowieków* z 1815 roku, zwraca uwagę, że w *Wykładach stuttgartzkich* Schelling też przytacza opinię, iż „nikt nie dokona czegoś wielkiego bez dodatku szaleństwa”, także przypisując ją Arystotelesowi, jednak po łacinie: „*nullum magnum ingenium sine quadam dementia*” [2], czyli, dosłownie, „nie ma żadnego wielkiego geniuszu bez jakiegoś szaleństwa”. Anna Lydia Motto i John R. Clark, autorzy artykułu *Paradoks geniuszu i szaleństwa. Seneka i jego wpływ*, nie odnosząc się do Schellinga, wskazują, że niemal identyczne zdanie można znaleźć u Seneki i to przypisane właśnie Arystotelesowi [3]. Brzmi tam ono: „*nullum magnum ingenium sine mixtura dementiae fuit*” [4], czyli dosłownie: „nie ma żadnego wielkiego geniuszu bez domieszki szaleństwa”. Schelling mógł więc uwierzyć Senece bądź jakiemuś źródłu pośredniemu, i przypisać na tej podstawie tę opinię Arystotelesowi. U samego Stagiryty znajdujemy wersję bardziej umiarkowaną: ludzie wybitni bywają melancholijni. Rymkiewicz komentuje to dokładnie tak: szaleństwo ma być „wywoływane przez »czarną żółć«, tę samą, która powoduje melancholię i która jest zarazem fizjologicznym powodem mądrości” [5]. Motto z Clarkiem zaś, że według Arystotelesa „tylko w skrajnych przypadkach” melancholia „objawia się w postaci szału”; „Arystoteles bierze się za rozmaite fazy melancholii, natomiast Seneka kładzie nacisk na szaleństwo” [6]. W

oryginale angielskim słowa „szał” i „szaleństwo” są mocniej skontrastowane, gdyż *frenzy* i *madness* nie mają wspólnego źródłosłowa, ale gdy Motto i Clark wchodzą w szczegóły, okazuje się, że i u Seneki szaleństwo, *madness* wiąże się z szałem, *frenzy*: „Seneka przechodzi... do przyjęcia szaleństwa poetyckiej inspiracji i szału” [7]. Z uwag tych można więc wysnuć wniosek, że Seneka nie tyle przypisuje Arystotelesowi obcy mu pogląd, co go uogólnia, zapewne w kontekście wyżej przez siebie wzmiankowanej Platońskiej koncepcji szału poetyckiego, nie uzależniając powiązania geniuszu i szaleństwa od czarnej żółci i melancholii. Idąc krok dalej, można przypisać Senece intencję stwierdzenia, że geniusze bywają szaleni na różne sposoby, nie tylko popadając w chandrę, depresję czy melancholię, ale także manię, obsesję czy pasję. Nie tylko zapadając się w sobie, lecz także, że tak powiem, wypadając z siebie, wychodząc z siebie w sposób gwałtowny i, być może nawet, napastliwy. Zresztą codzienne doświadczenie wskazuje, że bywają stany, w których człowiek jest tak cichy, nieruchomy i spokojny, że jest to aż niepokojące i zwiastuje niespodziewany wybuch jakichś tajonych emocji. Granica między melancholią a szałem, a zatem i szaleństwem jest wyrazista pojęciowo, ale zarówno hermeneutycznie, jak i fenomenologicznie [8] jest cienka.

Szaleństwo może więc objawiać się nie tylko jako anhedonia, apatia i awolicja, katatonia w postaci zwłaszcza katalepsji bądź stuporu, „zamknięcie w sobie”, „w swojej głowie” bądź „wycofanie”, lecz także jako siła, przynajmniej tymczasowo, energetyzująca, dająca pęd do działania, umożliwiającą aktywne wpływanie na otoczenie i na świat. Stąd wyrażenia takie, jak „pozytywnie zakręcony” czy „szału nie ma”, wskazujące, że szal był czymś, przynajmniej w określonym przypadku oczekiwanym, a więc, przynajmniej w tym przypadku, dobrym.

Na razie jednak doszliśmy jedynie do wniosku, że szaleństwo może objawiać się w postaci pewnej siły aktywnej, sprawczej, dawać człowiekowi siłę do działania i sprawiania rzeczy potencjalnie dobrych. Schelling jednak, a także Seneka idą dalej. Pierwszy pisze „całkowity brak szaleństwa prowadzi do innej skrajności, do tępoty umysłowej (idiotyizmu), która jest absolutną nieobecnością wszelkiego szaleństwa”, a drugi „nie ma żadnego wielkiego geniuszu bez domieszki szaleństwa”. Dla pierwszego obecność, domieszka szaleństwa jest warunkiem twórczości, siły, zdolności do płodzenia, a także „czynnego i żywego umysłu”; dla drugiego „wielkiego geniuszu”. Szaleństwo jest zatem nie tylko warunkiem wystarczającym wybitności, lecz także jej warunkiem koniecznym.

Uzasadnienie dla tak kategorycznego sądu możemy znaleźć w poprzedzającej cytowany ustęp partii *Światowieków*. Schelling opisuje pierwotny stan stworzenia, pierwotny stan natury, którym rządzi szaleństwo [9]. Jest to świat rozsadzany przez sprzeczne żywioły, targany przeciwnymi siłami, chaotyczna mieszanina rozpędzonych elementów. „Orgazm sił” [10], „wewnętrzne samorozdarcie Natury” [11]. Obrazem tego pierwotnego stanu natury utrwalonym także w stanie obecnym są drapieżniki [12], zwierzęta, które polują na inne zwierzęta, spędzając godziny na posępnym krążeniu po powierzchni Ziemi w poszukiwaniu ofiar, z zimnym wzrokiem obłąkanych morderców i ziejącymi odorem rozkładającego się mięsa, wypełnionymi brudnymi od krwi kłami paszczekami. W tym pierwotnym stanie natury nie tylko panuje szaleńczy chaos, oszalały zamęt, lecz także tkwi potężna siła, moc stwórcza, która umożliwia powstawanie bardziej subtelnych i uporządkowanych form natury. „Podstawową Siłą wszelkiego początkowego i pierwotnego tworzenia musi być jakaś Siła nieświadoma i konieczna” [13]. Jest on niczym puszczę albo dzikie pole,

które czekają na ogrodnika. Po wykarczowaniu nadmiaru, nasadzeniu niedomiaru, przeprowadzeniu ścieżek, postawieniu krat i płotów, pergoli i trejaży, przez kierowanie i przycinanie gałęzi i pnączy, uczyni on z tej puszczy albo z tego dzikiego pola kwitnący ogród. Dzika winorośl lub dzika jabłoń nigdy nie przyniesie tak wielu i tak dobrych owoców, jak winorośl lub jabłoń pielęgnowana i od wieków uprawiana. Ale pierwotny impet, siła żywotna, która drzemie w nasionach i liściach, w łodydze i pnączu, w pniu i w konarze, a wreszcie w kwiatach i owocach – i która objawia się w niewidocznych *hic et nunc* ruchach, w tym we wzroście, których skutki widać dopiero po czasie – siła ta, ten impet stanowi coś, czego ogrodnik sam z siebie nie jest w stanie ogrodowi nadać, z niego uformować. Ziarno musi pochodzić od innej rośliny. Ta *per se* nieforemna, niemal bezkształtna pierwotna siła natury, której jedną z postaci jest energia życiowa roślin, jest właśnie owocem pierwotnego, chaotycznego stanu natury. „Pierwszej Naturze, w jej przeraźliwej samotności, nic pomóc nie może, musi ona ten stan przewalczyć sama” [14]. I podobnie, pisze Schelling, jak w naturze szaleństwo poprzedza porządek, w człowieku szaleństwo stanowi konieczne podglebie wybitności.

Nie zaprzeczając Schellingowi, można tezę, że „nie ma żadnego wielkiego geniuszu bez domieszki szaleństwa”, podeprzeć innym jeszcze argumentem. Szaleństwo, pełne szaleństwo, nie po prostu domieszka szaleństwa, stanowi bez wątpienia coś złego, chorobliwy, przynajmniej w szerokim tego słowa znaczeniu, stan, w jakim może znajdować się jakiś człowiek (a zapewne także inne istoty, na przykład, przynajmniej część, zwierząt). Warto jednak wskazać, że nieraz rozpoznanie, czy ktoś jest szalony, nie jest wcale łatwe. Dobrze obrazuje to pewien dowcip [15]. Pacjent zakładu psychiatrycznego przechodzi korytarzem, ciągnąc za sobą sznurek. Zaczepia go lekarz, pytając, jak się czuje Burek. Pacjent patrzy na lekarza jak na wariata i

pyta: „jaki Burek?!” Doktor odchodzi z pewnym zadowoleniem, odnotowując, że widać poprawę w stanie psychicznym chorego. Pacjent odczekuje chwilę, ogląda się, czy lekarz odszedł już wystarczająco daleko, i zwraca się do sznurka słowami: „widzisz Burku? Udało się go przechytrzyć!” Nie tylko „rozum” ma swoją „chytrość”, lecz także ma ją szaleństwo. Szaleniec, obłąkany może być człowiekiem bystrym, inteligentnym, a także przebiegłym. Może więc udawać zdrowego po to, żeby uniknąć konieczności izolacji i leczenia, które on sam postrzega jako zamach na jego wolność osobistą i ludzkie prawa. Nie da się oszukać maszyny badającej tkankę biologiczną pod kątem obecności prątków gruźlicy, ale już człowieka sprawdzającego normalność i abnormalność stanu psychicznego innego człowieka jak najbardziej.

Ta potencjalna mimikra, którą mogą uprawiać szaleńcy, nie jest jednak istotą różnicy między chorobą psychiczną a chorobą somatyczną, nie jest istotą problemu z rozpoznawaniem szaleństwa. Jest jedynie jej objawem. Istota problemu tkwi w samych kategoriach normalności i abnormalności czy nienormalności. Nie rzecz w tym, by w duchu skrajnej antypsychiatrii głosić, że w odniesieniu do zdrowia psychicznego są to kryteria całkowicie arbitralne i dowolne, uwarunkowane jedynie poglądami epoki, w której występują. Jednak fakt, że w odniesieniu do psychiki są one o wiele bardziej nieokreślone niż w odniesieniu do zdrowia somatycznego i, co się z tym wiąże, nieraz, w szczególności, noszą ślady dowolności, nie może umknąć naszej uwadze. Bierze się to z prostej zależności: nieleczone choroby somatyczne prowadzi do śmierci. Nie zawsze do niej doprowadza, ciało same z siebie jest czasem wystarczająco silne, ale kierunek, w którym ona prowadzi, jest oczywisty, odczuwalny dla chorego i widoczny dla jego otoczenia. W przypadku arytmii, padaczki i tym podobnych chorób można mówić przynajmniej o zagrożeniu śmiercią. Nawet w przypadku drobnego marginesu chorób somatycznych, które życiu nie zagrażają,

jak (przynajmniej niektóre) grzybice, w tym łupież, oraz bielactwo, widać śmierć (w postaci uśmiercania drobnych tkanek naszego ciała) – w pierwszym wypadku zadawaną przez grzyb, w drugim przez nasz własny układ odpornościowy. Zresztą, przynajmniej wedle dostępnych laikom wiadomości, zarówno łupież, jak i bielactwo mają nieraz podłoże psychiczne, są konsekwencją nadmiernego obciążenia systemu nerwowego. Wreszcie, czy nie jest tak, że gdyby nie aktywność układu odpornościowego, nawet tak niegroźne grzyby, jak te powodujące łupież, doprowadziłyby do śmierci człowieka? A także, że z kolei zbyt silna autoagresja immunologiczna powoduje różne rodzaje nowotworów? Tak przynajmniej można sobie domniemywać, bez profesjonalnej wiedzy medycznej. Pozostawiając biologom i lekarzom weryfikację tych przypuszczeń, uprawnione wydaje się uogólnienie, że kryterium normalności i nienormalności w przypadku chorób somatycznych stanowią życie i śmierć. „Chorobę kończy śmierć” [16].

W przypadku chorób psychicznych, choć bez wątpienia da się znaleźć pewne wyraziste objawy, które spowodują, że na osobę je objawiającą spojrzemy „jak na wariata”, niemożliwe wydaje się wytyczenie ścisłych granic, kiedy zaczyna się już szaleńcza niedorzeczność wypowiedzi bądź zachowań określonej osoby, odejście od zmysłów, a kiedy można mówić jeszcze o dziwactwie, idiosynkrazjach, propellerach cechujących oryginałów i sawantów. Wielu z nas, uznawanych za normalnych i zdrowych na umyśle przeżywało chwile, w których spoglądano na nas, „jak na wariatów”. Są to chwile, w których wychodzimy z niespodziewaną i niezwykłą koncepcją bądź propozycją, która może okazać się błędna, ale niejednokrotnie bywa ważna, jeśli nie przełomowa, i pozwala rozwiązać problem, nad którym głowiliśmy się od dłuższego czasu. Można utrzymywać, że nie jest to tylko niedoskonałość naszego rozeznania życia psychicznego człowieka, iż

nie jesteśmy w stanie tej granicy w psychice między zdrowiem a chorobą ściśle wyznaczyć, lecz, że jest to pochodna samej natury ludzkiego poznania i działania.

Może być bowiem tak i to jest drugi argument, obok Schellingowskiego, że nasza wiedza o szaleństwie zawsze włącza w jego obręb większy zakres fenomenów życia psychicznego człowieka, niż rzeczywiście może zostać właściwie uznany za patologiczny. Prostszy słowy, że z biegiem czasu okazuje się, że niektóre słowa i zachowania, które uważaliśmy za szalone, okazują się racjonalne, zasadne i zaczynają wyznaczać nowy standard normalności. „A usłyszawszy o zmartwychwstaniu, jedni się naśmiewali, a drudzy rzekli: będziem cię drugi raz o tym słuchać.” Gdy święty Paweł mówił Ateńczykom o powstawaniu ludzi z martwych, wydało im się to śmieszne; delikatniejsi zaś i grzeczniejsi po prostu go zbyli. Tak i my stykając się ze słowami człowieka, którego uważamy za szaleńca, reagujemy śmiechem – bądź, jeśli bardziej z nim empatyzujemy, ignorujemy jego słowa i, po sprawdzeniu, czy nie stanowi on zagrożenia dla siebie bądź innych, pozostawiamy go samemu sobie. Jednak po paru wiekach wszyscy ich potomkowie zostali gorliwymi chrześcijanami, a ich ojczyzna, Grecja jest jednym z niewielu pozostałych w Europie i na świecie państw wyznaniowych. Niektórych szaleńców uważamy jednak nie za śmiesznych, lecz za groźnych – tych współcześnie izolujemy, dawniej nawet zabijaliśmy. I nie trzeba odwoływać się na poparcie tej tezy do historii chrześcijaństwa; wystarczy wspomnieć o Sokratesie, który według oskarżenia gorszył młodzież i próbował wprowadzać nowych bogów, a którego, już po skazaniu na śmierć i doprowadzeniu do samobójstwa, jeszcze pogańska pamięć grecka zrehabilitowała i umieściła wśród największych mędrców.

Podsumowując, pozwolenie sobie i innym na pewną dozę szaleństwa w życiu, na głoszenie jakiegoś szalonego poglądu albo zachowywanie się w szalony sposób, może pozwolić społeczeństwu na pójście w kierunku, który może wydawać się absurdalny bądź nawet groźny, a okaże się dobroczynny i *post factum* oczywiście słuszny. Tylko energia zawarta w szale, *prima facie* irracjonalna, może dać człowiekowi śmiałość do przełamania zastanych konwencji. Tyle na razie dobrego o szaleństwie. Bo szaleństwo ma też swoją złą stronę. Możemy ją nazwać obłąkaniem, słowem, które już padało wyżej parę razy. Obłąkańcy krzywdzą innych ludzi. Nie tylko potajemnie, dokonując w ukryciu jakichś zbrodni, lecz także jawnie, nierozpoznani przez świat zewnętrzny dręczą swoje najbliższe otoczenie, zwłaszcza jeśli z powodu pozycji w tym otoczeniu mają w nim szczególny posłuch, a pozycja ta jest utrzymywana przez autorytet świata zewnętrznego. Im bardziej obłąkani, im bardziej nieświadomi prawdziwego znaczenia swoich zachowań, tym bardziej mogą żyć w przekonaniu, że mają szczególne powody, by zachowywać się w nienormalny, patologiczny sposób.

Szaleństwo jest więc z jednej strony niezbędne do przemiany społecznej, jeśli nie wręcz do uzdrowienia społeczeństwa, z drugiej zaś, jako obłąkanie, prowadzi do nieszczęścia i zła. Oba te wymiary nienormalności same wchodzą w ciekawą dialektykę. Czasem w obłąkanie popada nie tylko jedna osoba, lecz cała społeczność, a nawet całe społeczeństwo. W takim przypadku ta społeczność bądź to społeczeństwo będzie widziało szaleństwo w zdrowiu. A człowiek w nim wychowany, jeśli będzie chciał je uzdrowić, sam będzie musiał zdobyć się na zachowania, które, gdyby się nad nimi samokrytycznie zastanowił, musiałby uznać za szalone. Jednym z takich ludzi był Mojżesz, który najpierw postanowił wyprowadzić Żydów z niewoli egipskiej – czyn szalony według Egipcjan, którzy go wychowali – a

następnie „spalił i skruszył” złotego cielca „aż na proch, który wysypał na wodę i dał z niego pić synom Izraelowym”, swojemu nowemu, a zarazem staremu ludowi, jawiąc się, można założyć, swoim rodakom znów jako szaleniec. A jednak to Mojżesz miał rację. Żydzi pojęli to dosyć szybko, na tyle, by z Mojżeszowego szaleństwa skorzystać, inaczej niż Egipcjanie, którzy, niszcząc dziedzictwo Echnatona, myśleli, że uzdrawiają swoje społeczeństwo.

Pełne pogodzenie sprzeczności albo nawet przeciwieństw targających światem nie jest możliwe, póki świat się zmienia, póki fluktuuje, jest w stanie życia, czyli, by użyć wyrażenia Trentowskiego, żywostanie. Ale trudno uwierzyć, by ludzkość po tysiącletniach swej historii (pomijam prehistorię) nie ułożyła sobie jakoś, choć raczej zasadniczo nieświadomie, tego konfliktu. Podobnie jak odkąd sięga ludzka pamięć, istnieją normy cywilizujące konflikt interesów między dłużnikiem i wierzycielem, między przestępcą i społeczeństwem, między dziećmi i rodzicami, między agresorem a państwem prowadzącym wojnę obronną i tak dalej, powinny też być jakieś normy, instytucje, które pozwalają złagodzić, ucywilizować konflikt między szaleństwem a (zastaną) normalnością.

„Zniknęli samotnicy, których ich narody składały w ofierze i odcinały od świata, a to w tym celu, aby prowadzona była kontemplacja spraw wiecznych i jej wyłącznie służące życie – nie dla jakiejś korzyści, lecz dla błogosławieństwa” [17], konstatuje smutny stan rzeczy Hegel. Chodzi mu o rzecz jasna o zakonników, a zwłaszcza o mnichów i pustelników, którzy mieli zajmować się nie tylko modlitwą w wąskim tego słowa znaczeniu, lecz także „teologią”, która była „strażniczką spekulatywnych misteriów i, choć od niej zawisłej, metafizyki” – dopóki nie „porzuciła tej nauki na rzecz uczuć, praktyczności i

popularności, a także historyczności” [18]. Adam Landman, tłumacz *Nauki logiki*, pierwsze z cytowanych zdań przełożył nieco inaczej: „zniknięcie samotników, których lud składał w ofierze i wyłączał ze świata po to, aby mogła gdzieś istnieć kontemplacja tego, co wieczne, oraz życie tylko tej wieczności służące – nie w imię jakiejś korzyści, lecz dla chwały bożej” (wydanie zredagowane przez Marcina Pańkova) [19]. Interesujące jest, zwłaszcza że słowa „*vorhanden sey*” oddał przez „mogła gdzieś istnieć”. Jest to tłumaczenie bliskie tekstowi, a zarazem dające dziwny efekt. Celem narodów miało być dawniej to, by „gdzieś istniało” lub „mogło gdzieś istnieć” życie kontemplacyjne (*vita contemplativa*), i w tym celu poświęcano część członków tych narodów. Innymi słowy, narody składały ofiary z ludzi na ołtarzu „spraw wiecznych”, „spekulatywnych misteriów” i „metafizyki”. „Nie dla jakiejś korzyści, lecz dla błogosławieństwa”. Jednak wyrażenie „mogło gdzieś istnieć” sugeruje całkowitą bezinteresowność narodów w tym akcie „odcięcia od świata” czy, jak woli Landman, „wyłączenia ze świata”; podobnie przyjęty przez tłumacza *Nauki logiki* przekład słowa „*Seegen*”, które oddał jako „chwałę bożą”, mimo że bardziej dosłownie oznacza „błogosławieństwo”. „*Vorhanden sey*” może oznaczać w tym miejscu nie tylko „mogło gdzieś istnieć”, lecz także „było pod ręką”, „było podręczne”, a zatem, że narody składały ofiary z ludzi, odbierając im „życie światowe”, by mieć pod ręką już nowych ludzi, przyjmujących nowe imiona, tę najbardziej indywidualizującą z nazw, nazwę, która oznacza naszą tożsamość – ludzi, którzy będą swoim narodom służyć właśnie dzięki całkowitemu oddaniu „sprawom wiecznym”. A jest w interesie narodów, by mieć takich ludzi pod ręką, czyli do dyspozycji, bo – co prawda – nie dadzą żadnej „korzyści”, ale dadzą „błogosławieństwo”. Otworzą życie narodu na to, co niespodziewane, niezwykle, czyli właśnie szalone. „Boży szaleńcy” są narodowi potrzebni, bo oprócz wielu korzyści, które jest w stanie rozpoznać i osiągnąć poprzez podział pracy i specjalizację, poprzez powszednie życie i codzienny trud milionów normalnych, zdrowych ludzi, winien

być otwarty i gotowy na przyjęcie niespodziewanego błogosławieństwa, *benedictio*, „dobrego słowa”, które może mu kazać przejść przez Morze Czerwone, a w nagrodę za nawet nie umiarkowaną odwagę, lecz szaloną śmiałość, dać Ziemię Obiecaną.

Naród nie może sobie jednak pozwolić, by szaleńcy chodzili sobie swobodnie po ulicach, robiąc, co popadnie. Nie da się bowiem, jak już wiele razy od różnych stron to sobie oświetlaliśmy, odróżnić z góry szaleńców od obłąkańców. Dlatego społeczeństwo musi ten przychodzący z każdym pokoleniem nadmiar energii, siły, mocy jakoś kanalizować – aby z jednej strony ludzi nienormalnych dyskretnie odizolować, by zabezpieczyć się przed obłąkańcami, a z drugiej dać dobrym szaleńcom możliwość przyciągania błogosławieństwa. Takim kanałem odprowadzania szalonej krwi lub limfy, a może czarnej żółci, jest na przykład sztuka, w której ludzie z domieszką szaleństwa mogą wyżyć się jako artyści. Nie każdy artysta musi być oryginalny, wielu próbujących oryginalności nie osiąga swego zamiaru, ale jest ona wartością w sztuce samoistną – zupełnie inaczej niż w zwykłych, normalnych gałęziach gospodarki, dziedzinach życia społecznego. Podobnie religia, do której odwoływał się wyżej *explicite* Hegel, ma oczywiście miejsce na powtarzalność i rytualność, ale już sama próba nazwania, choćby coniedzielnego, przeżycia religijnego „zwykłym” bądź „zwyczajnym” pobrzmiwa bluźnierstwem. Przeżycie religijne ma być niezwykle, niezwyczajne, nadzwyczajne; niedziela ma być szczególnym dniem w życiu chrześcijanina; dniem, w którym się nie działa, a przecież działa, który spędza się w sposób, którego nie da się nazwać normalnym, powszednim językiem; święto jest po to, by je święcić. Trzecie przykazanie można właśnie wyklądać jako wezwanie do przeżywania religii w sposób szczególny. Religia znajduje dla „bożych szaleńców” szczególne formy życia, pozwalając im każdy dzień przeżywać jak niedzielę. Życie zakonne, ale też celibat kleru

świeckiego, a nawet życie tercjarskie, stanowią sposoby przebywania w świecie, które dla nieprzyjmującego żadnych przed-sądów oka patrzącego z perspektywy dnia codziennego, będą skrajnie nienormalne. Ale przed-sądy są wytworem wielotysięcznej dziejowej roboty w oswojaniu natury ludzkiej i dobrze z nich korzystać. Dzięki nim widzimy, że akceptacja nienormalności nie stanowi wyzwania; ważne tylko, żeby ta nienormalność była uregulowana i tak skanalizowana, by nie zalała całego życia społecznego. Ani sztuka, ani religia nie pozwala jednak swobodnie wypowiadać się w sprawie prawdy i fałszu – esteta mogłoby to znudzić, wierzącego, słusznie, oburzyć. Dlatego powstała filozofia, której jednym z głównych prawodawców był już wspomniany wyżej Sokrates. Filozofia ma za zadanie dać się wyżyć tym ludziom z domieszką szaleństwa, którzy mają potrzebę prawić o prawdzie i rzec coś o rzeczach. Paradoksalnie, choć dziś sami filozofowie rzadko chcą ten fakt zaakceptować, właśnie obecnie filozofia w największym stopniu, w porównaniu do zeszłych wieków, nadaje się na kanał odprowadzający nadmiar szalonych fluidów z organizmu społecznego. Powstała bowiem nauka i powstałi naukowcy, którzy nie dość, że filozofią gardzą, to się nią po prostu nie interesują i mają do tego jak najlepsze powody. Nauka, *science*, wykształciła bowiem tak doskonałe specjalizacje, że reprodukuje się za pomocą swoich własnych kadr, laboratoriów i obiegu wydawniczo-konferencyjnych, a jedyną właściwą weryfikacją jej wyników jest sprawność w opanowaniu ciał (na przykład chronieniu ich przed chorobami) oraz konstruowaniu techniki (na przykład komputerów). Jedynie filozofia i parę innych efemerycznych przedsięwzięć poznawczych nie służy człowiekowi w osiągnięciu jakichś wymiernych korzyści. Przedsięwzięcia te jednak są oczywistymi próbami stworzenia nowych nauk – wiadomo, że nie każda taka próba musi się powieść. Ciało i technika same dadzą informację zwrotną. Filozofia jednak nie zajmuje się ani opanowywaniem ciał, ani konstruowaniem techniki; nie ma takich ambicji. Filozofia – jeśli w

ogóle ma sens – winna służyć błogosławieństwu, otwieraniu ludzkości na to, co niespodziewane, niezwykle, niecodzienne. Filozofia jest dziwną wiedzą o dziwach. Dziwną wiedzą, która nieraz zmienia się w dziwactwo, nie ma co ukrywać. Ale jest to konieczny koszt do zapłaty za to, by filozofia organizowała tych ludzi z domieszką szaleństwa, którzy chcą coś mówić o prawdzie.

Schelling, pisząc o domieszce szaleństwa niezbędnej do wybitności, powoływał się, w swoim mniemaniu, na Arystotelesa. Najprawdopodobniej jednak korzystał z Seneki. W każdym razie w Arystotelesie pewną myśl podobną można było znaleźć – myśl, wedle której melancholicy zmieniają się czasem w szaleńców. Melancholicy, czyli ludzie mający w swych organizmach nadmiar *μέλας χολή*, czarnej żółci. Aby od nadmiaru dojść do umiaru, należy się tego czegoś posiadanego w nadmiarze pozbyć. „Dlaczego ci, którzy cierpią na stany przygnębienia, bywają skorzy do spraw Afrodyty? Czy dlatego, że mają nadmiar wyziewów, nasienie jest zaś wydalaniem wyziewów? Ci więc, którzy mają tego dużo, muszą często odczuwać pożądanie, aby się od nich uwolnić. Przez to doznają ulgi” [20]. Trop erotyczny, narzucający się przez definiującą filozofię jako sposób życia *Ucztę* Platona, znajdziemy też u Schellinga: „uczucie jest wspaniałe, kiedy pozostaje u podstawy, ale nie wtedy, gdy wychodzi na światło dzienne, chce uczynić się bytem i panować. Jeśli zgodnie ze znakomitymi poglądami Franza Baadera pęd poznawczy pozostaje w najściślejszym związku z instynktem rozrodczym, to również w poznaniu tkwi jakiś analogon wstydlivości i skromności, a także bezwstyd i nieskromność, swego rodzaju żądza fauna, która wszystkiego dokoła kosztuje bez powagi i miłości kształtowania czegoś lub tworzenia” [21]. Filozofowie potrzebują wstydu i skromności, by nie zmienili się w faunów i satyrów. Ale całkowite zawstydzenie i uskromnienie, pozbawienie filozofów

żądzy, która wysublimowana jest w ich przypadku do postaci miłości, doprowadziłoby do pozbawienia ich jakiegokolwiek szaleństwa, nawet jego domieszki. A ona, jak już wiemy, jest niezbędna.

O niezbędności domieszki szaleństwa nie wiedzą jednak ci, którzy chcą uczynić z filozofii naukę jak każda inna. Chcą wyznaczyć jej metodologię, „problemy” i „hipotezy”, oczywiście „badawcze”, a także wymusić na niej, by składające się na nią procesy przebiegały według „planu”, też oczywiście „badawczego”. Innymi słowy, chcą nie tylko umyć, uczesać i ubrać filozoficznego fauna, spełniając w ten sposób zrozumiałe wymogi wstydlivosti i skromności, a także umiaru, lecz go, nie ma co ukrywać, wykastrować, pozbawić siły płodzenia. Nie ma więc co się dziwić, że ukrył się głęboko w puszczy, wzbudzając swoimi dalekimi pohukiwaniami co prawda paniczny lęk, niemniej niewytłumaczalny dla tych, którzy nie wiedzą, że kiedyś żył ktoś taki jak on wśród nas i że go przepłoszyliśmy. Filozofia ma sens tylko jako nie-nauka, obok-nauka, coś naukopodobnego, naukowego (Bogusław Wolniewicz), po prostu para-nauka (Marek J. Siemek) [22]. Rzecz jasna, używając słowa „nauka” we współczesnym znaczeniu, w którym jest ona uprawiana przez „naukowców”, ludzi, którzy beznamiętnie przeprowadzają projekty badawcze w celu opanowania ciał i konstruowania techniki. Bardzo możliwe, że tak rozumiana nauka jest o wiele korzystniejsza i pożyteczna społecznie niż wszelka filozofia. Nie chodzi też o to, by twierdzić, że filozofia uprawiana zgodnie z rygorami nauk szczegółowych jest bezwartościowa. Wręcz przeciwnie, może być nawet bardziej wartościowa – właśnie nie jako filozofia, lecz jako historia, psychologia, socjologia, neurologia lub jakakolwiek inna nauka szczegółowa uprawiana, ze względu na instytucjonalne długie trwanie, pod nazwą filozofii. Rzecz w tym, że jeśli nie będzie w naszym organizmie społecznym oddzielnego miejsca dla filozofii spełniającej tę specyficzną funkcję, która czyni ją nieredukowalną do jakiegokolwiek

nauki szczegółowej, czyli do nauki we współczesnym tego słowa znaczeniu, to szaleńcza krew, limfa czy czarna żółć rozleje się po całym ciele i całe życie społeczne zmieni się w dom wariatów.

„Tylko myśl podniecona natchnieniem potrafi wieścić sprawy wielkie i wzniesione ponad poziomy. Kiedy bowiem wzgardzi już wszystkim, co mierne i pospolite, kiedy, ożywiona boskim tchnieniem, uleci w górne regiony, wtedy dopiero pieśnią zwiastuje prawdy niedostępne ustom śmiertelnych. Jest rzeczą niewiarygodną, by duch się zdobył na myśli, które się rodzą na niebosiężnych i stromych szczytach, jak długo przebywa w sobie. Musi zboczyć z utartych szlaków i wspiąć się w górę i stargać wędzidła, i porwać swojego jeźdźca, i ponieść go na takie zawrotne wyżyny, na jakie by nie miał odwagi wstąpić o własnych siłach” [23].

dr Konrad Wyszowski

Przypisy:

[1] F.W.J.v. Schelling, *Światowieki. Ułamek z roku 1815*, przeł., wstępem i komentarzami opatrzył W. Rymkiewicz, Warszawa 2007, s. 150 i n.

[2] W. Rymkiewicz, *Komentarze tłumacza*, w: tamże, s. 227.

[3] A.L. Motto i J.R. Clark, *The Paradox of Genius and Madness: Seneca and His Influence*, „Cuadernos de Filología Clásica. Estudios latinos” 1992, nr 2, s. 190.

[4] Tamże.

[5] W. Rymkiewicz, miejsce cyt.

[6] A.L. Motto i J.R. Clark, dz. cyt., s. 191.

[7] Tamże.

[8] Rozróżnienie na interpretację (tu zjawisk, tam tekstów) fenomenologiczną i hermeneutyczną za: W. Rymkiewicz, *Ktoś i nikt. Wprowadzenie do lektury Heideggera*, Wrocław 2002, s. 55.

[9] F.W.J.v. Schelling, *Światowieki...*, s. 147-50.

[10] Tamże, s. 148.

[11] Tamże, s. 149.

[12] Tamże.

[13] Tamże, s. 148; rozstrzelenie zmieniałem na wytłuszczenie.

[14] Tamże, s. 151.

[15] Który zawdzięczam Edwardowi Bonieckiemu.

[16] F.W.J. Schelling, *Filozoficzne badania nad istotą ludzkiej wolności i sprawami z tym związanymi*, przeł. B. Baran, Kraków 1990, s. 73.

[17] G.W.F. Hegel, *Wissenschaft der Logik*, cz. 1, *Die objective Logik*, t. 1, *Die Lehre vom Sein*, Stuttgart-Tübingen 1832, s. VII. Rozstrzelenie zmieniałem na wytłuszczenie.

[18] Tamże. Wyróżnienie kursywą zmieniałem na wytłuszczenie.

[19] Tenże, *Nauka logiki*, przeł. A. Landman, red. M. Pańków, t. 1, Warszawa 2011, s. 4.

[20] Arystoteles, *Zagadnienia przyrodnicze (Problemata)*, przeł. L. Regner, w: tenże, *Dzieła wszystkie*, t. 4, Warszawa 1993, s. 533 (4, 30). Do tego fragmentu odsyła Leopold Regner w pierwszym przypisie do ks. 30, rozdz. 1, stanowiącej według jego słów „rozprawkę o melancholii” (tamże, s. 699). Do tej „rozprawki” odsyłają z kolei Rymkiewicz w komentarzu do Schellinga (miejsce cyt.) oraz Motto i Clark (miejsce cyt.).

[21] F.W.J. Schelling, *Filozoficzne badania...*, s. 126.

[22] M.J. Siemek, „*Nauka*” i „*naukowość*” jako ideologiczne kategorie filozofii, w: H. Kozakiewicz, E. Mokrzycki i M.J. Siemek (red.), *Racjonalność, nauka, społeczeństwo*, Warszawa 1989, s. 28. Siemek używa tej kategorii polemicznie, w celach krytycznych, ale ujmuje za jej pomocą coś, co ma, moim zdaniem, wartość dodatnią; dopóty przynajmniej, dopóki nie zamkniemy „tych kwestii”, które „musimy tu pozostawić otwarte” (tamże, s. 29).

[23] L.A. Seneka, *O pokoju ducha*, w: tenże, *Dialogi*, przeł. L. Joachimowicz, Warszawa 1963, s. 544 i n.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
